

Zderzenie Światów - Między Snem a Chaosem

[Crossover Snu który pamięta i Gry o dorosłość]

Autor: Accurate "Accu" Memory

Korekta: Vulture

Prolog — Lustro między światami

Muzeum było niemal puste.

Wśród zapomnianych eksponatów i cyfrowych ekranów, które dawno przestały odpowiadać na dotyk, tylko echo kroków niesło się przez korytarze. Oliwia szła kilka kroków przed mamą, ściskając mocno dłonie za plecami — tak, jak robiła to, gdy czuła, że za chwilę stanie się coś ważnego.

Zatrzymała się przed nieopisanym artefaktem. Lustro. Czarna, owalna rama. Matowa tafla z połyskiem jakby podziemnej wody. Żadnego opisu. Żadnego kodu QR. Tylko numer katalogowy wyryty ręcznie: $\Delta CH-11$.

— Co to jest? — zapytała, nie odwracając głowy.

Klara podeszła powoli. Bitsi zbliżyła się ostrożnie. Spojrzały. Odbicie było dziwne — przesunięte o ułamek, jakby czas i przestrzeń nie do końca zgadzały się co do kształtu dziecka, które patrzyło w głąb.

W tafli Oliwia zobaczyła siebie... ale nie siebie.

Jej skóra miała fioletowy połysk. Włosy stały się pasmem światła. A oczy — oczy były ogromne, błyszczące, ze spiralami. I... kopytka. Stała na kopytkach, śniąc o sobie inaczej.

Serce jej zadrżało. Poczuła znajomy chłód — ten sam, który czasem czuła nocą, kiedy szept z wnętrza mówił: *nie jesteś tylko dziewczynką*.

Klara dotknęła jej ramienia.

— To nieczynne — powiedziała łagodnie. — Chodźmy dalej.

Ale Oliwia wiedziała już, że coś się obudziło. Coś nie należącego do tej sali. Ani do tej wersji niej samej.

Tego wieczoru, w domu...

Bitsi długo mówiła o przeszłości. O tym, jak sen może zaprowadzić za daleko. Że maseczki trzeba używać ostrożnie. I że niektóre wersje systemu nie są już bezpieczne.

Ale gdy zapadła noc, Oliwia sięgnęła po nią.

Szara maseczka z przyciskiem, którego już nie produkowano. Senna™ 1.3. Miała logo prawie starte, a na pasku gumki — wyblakły różowy ślad.

Włożyła ją na twarz.

System zawahał się. Przycisk nie zadziałał od razu. Ale gdy w końcu zaświeciła się dioda, serce Oliwii забиło mocniej.

W jej wnętrzu — głęboko, pod warstwami dziecięcego śmiechu i bajek — nasionko drgnęło.

I zaczęło rosnąć.

CZĘŚĆ I: Sen, którego nie powinna śnić

Rozdział 1 – Obudź się jako ktoś inny

Cisza nie była ciszą. Była pulsującym światłem.

Oliwia unosiła się w mlecznej mgle, która pachniała jak kurz na kartkach starej bajki. Jej ciało nie czuło ciężaru. Nie czuła też łóżka ani poduszki. Pod nią była tylko... miękka, lekko drgająca przestrzeń.

Zrobiła pierwszy krok.

Miękkie, lekko przytłumione „klap”.

Spojrzała w dół.

To nie były stopy.

To były kopytka.

Jej oddech przyspieszył, ale nie był paniką. Raczej zdziwieniem — głębokim, czystym, dziecięcym zdziwieniem, jak wtedy, gdy widzi się pierwszy śnieg. Poruszyła uszami. Uszami. Długimi. Elastycznymi. I były jej.

Próbowała coś powiedzieć, ale głos był inny — wyższy, cieńszy, miękki jak watka.

— H... halo?

Mgła poruszyła się. Zatańczyła. I z niej wyłoniła się postać — inna klaczka, trochę starsza, z fioletową sierścią i oczami jak spirale. Jej grzywa wyglądała jak pokręcony cukierek, a uśmiech... był znajomy. Za bardzo znajomy.

— No proszę — powiedziała z tym tonem, który był równocześnie rozbawiony i znużony. — A więc to ciebie mi przysłali?

— Kim... kim jesteś?

— *Screwball*, oczywiście — odpowiedziała, wykonując teatralny ukłon. — Ale możesz mówić do mnie jak chcesz. Większość dzieci i tak zapomina moje imię, zanim się obudzą.

Oliwia zmarszczyła pyszczek. Coś w niej drgało. Jak echo. Jak rozpoznanie.

— Ja... ja cię znam.

— Wiem — szepnęła *Screwball* i spojrzała na nią tak, jakby znała ją zawsze. — Ty mnie czytałaś.

Oliwia cofnęła się o pół kroku. Świat za jej plecami był pusty, a przed nią... stawał się coraz bardziej bajkowy. Drzewa zrobione z waty cukrowej, niebo z cekinów, a w oddali — zawieszona w próżni karuzela, obracająca się bez dźwięku.

— Czy to sen?

— A ty jak myślisz?

— Ja... nie pamiętam — powiedziała Oliwia. — Nie wiem nawet, kim jestem.

Screwball uśmiechnęła się jeszcze szerzej, ale w jej oczach zamigotał cień współczucia. Lub może smutku. Albo wspomnienia.

— To dobrze — powiedziała łagodnie. — Bo tu nie musisz być sobą. Tu możesz być kimkolwiek. Albo czymkolwiek.

— Ale... co jeśli nie chcę?

Screwball podeszła bliżej i dotknęła jej serca kopytkiem.

— To wtedy... będziesz musiała pamiętać, zanim ci przypomnę. A to może boleć.

Za nimi mgła poczęła się zwijać w spiralę, jakby cały świat został skręcony do środka. A nasionko — głęboko w Oliwii — znów drgnęło.

I zaczęło kiełkować.

Rozdział 2 – Camel i echo wyboru

Świat nie miał tu początku. Ani końca.

Ale miał środek — a w nim stała Camel.

Na skraju przestrzeni utkanej z odłamków luster i płonących piór, pośród śladów dawno zakończonych gier i zamarłych zabawek, Camel spoglądała na coś, co nie pasowało do żadnej z plansz Discorda.

Żrebaczka.

Mała, skulona postać z maseczką snu na pysku. Cicho drżała w rytm jakiegoś obcego serca.

Camel zbliżyła się powoli, jak do śpiącego ognia. Kopytka uderzały miękko o szklaną ziemię — odłamki snów skruszone przez czas. Jej ogon poruszył się lekko, jakby coś w niej – instynkt, pamięć, niepokój – próbowało ją ostrzec.

— To nie jest stąd — wyszeptała. — To nie jest z tej gry.

Żrebaczka oddychała nieregularnie. Jej pysk co jakiś czas drgał — tak, jakby coś w jej wnętrzu walczyło z samym snem.

Maseczka.

Camel zmrużyła oczy.

Nie była to żadna znana jej maska z Krainy Chaosu. Nie była zrobiona z magii, spirali ani cukrowego dymu. Miała zużyty pasek, podniszczoną krawędź, a na rogu... znamię systemowe. Stare. Senna™ 1.3.

Przypomniała sobie.

Raz, bardzo dawno temu, widziała coś podobnego, gdy z Iris zwiedzały pozostałości starych iluzji – ruiny śpiących dzieci, które nigdy się nie obudziły. Wtedy też znaleźli fragment kodu, którego nie potrafiły odczytać.

Camel pochyliła się.

Nie pachniała chaosem.

Pachniała... czułością. I czymś jeszcze. Jakby miała w sobie kod, który znał inne reguły. Nie te od Discorda.

— Kto cię tu wpuścił, mała? — mruknęła pod nosem.

I wtedy to poczuła.

Pęknięcie.

Nie w ziemi, nie w czasie. W grze. Cała przestrzeń zadrżała, jakby ktoś rozchylił warstwy iluzji i wlał do środka coś obcego. Nie-właściwego.

Camel wzdrygnęła się. Nie była już klaczką chaosu, która słuchała każdego szeptu. Ale jej instynkty przetrwały.

To było... przejście.

Bramka. Brama.

Nie otwarta przez Iris. Nie przez Discorda. Ale pozostała. Zostawiona. Jak pęknięte okno w zamkniętym pokoju. Albo lustro, które wciąż pamięta odbicie.

— Tatusiu... — wyszeptała niemal z przekąsem. — Co zostawiłeś otwarte?

Spojrzała jeszcze raz na śpiącą klaczkę.

I zrobiła coś, czego nauczyła się już dawno:

Nie obudziła jej.

Zamiast tego — usiadła obok i położyła skrzydło na jej grzbiecie.

Bo nie wszystko, co się pojawia w chaosie, trzeba od razu rozwiązać.

Niektóre sny trzeba przesiedzieć razem.

Rozdział 3 – Senna™ 1.3 – kod nieznany

Początkowo sądziły, że to zwykły sen. Może zbyt głęboki, może zakłócony.

System miał przecież zabezpieczenia. Logi. Alerty. Monitorowanie przepływu rytmu serca.

A jednak...

Oliwia nie obudziła się.

Bitsi siedziała przy łóżku, w dłoniach ściskając starą maseczkę Senna™. Jej dioda już nie świeciła. System nie odpowiadał.

W pokoju panował chłód, który nie miał nic wspólnego z temperaturą.

— To był tylko sen testowy — szepnęła do siebie po raz dziesiąty. — Ona tylko... zasnęła za głęboko.

Ale już wiedziała, że to nieprawda.

Klara stała obok. Ekran diagnostyczny był wypełniony zakłóceniami. Wewnętrzne logi kapsuły nie zgadzały się z żadnym znanym wzorcem. Pulsacje fal mózgowych wskazywały na intensywny sen świadomy — ale nie wywołany żadnym z legalnych wzorców snu terapeutycznego.

— Co to znaczy? — zapytała Bitsi cicho.

Klara nie odpowiedziała od razu. Przesuwała palcami po liniach kodu, które nie wyglądały znajomo.

Zaczynały się jak standardowe bajki — narracja wprowadzająca, rytm bezpieczeństwa, elementy terapeutyczne...

A potem: pętla.

Niekończąca się sekwencja symboli, fragmenty starego protokołu... i tag, który powrócił po latach: #DIS-P01.

— Nie... — Klara zmarszczyła brwi. — To niemożliwe.

— Co?

— To fragment bajki Jasmine. Nie tej opublikowanej. Tej... niedokończonej. Zarchiwizowanej. Nigdy nie powinien zostać uruchomiony.

Bitsi podniosła głowę. Jej oczy były jak tafla szkła — napięte, błyszczące.

— Mówisz, że ona... śni cudzy sen?

Klara skinęła głową.

— Nie tylko. Ona uruchomiła sen, który nie był gotowy. I ktoś — albo coś — dodał do niego elementy spoza systemu.

Przez chwilę milczały. Słyszać było tylko cichy szum chłodzenia procesora pod kapsułą.

— Myślisz, że to Discord?

Klara pokręciła głową.

— Discord już tu nie działa. Ale jego cień... może jeszcze się ruszać. Szczególnie jeśli ktoś... zaprosi go z powrotem.

Bitsi odwróciła wzrok.

Na biurku leżała stara książka — dziecięca. Ilustrowana opowieść, którą dawno temu podsunęła córce. Nosiła tytuł:

„Galeria Luster i Dziewczynka z Oczami Spirali.”

— Sama jej ją dałam... — wyszeptała.

I wtedy to poczuła. Nie strach.

Tylko to samo drżenie, które czuła kiedyś, gdy system próbował zabrać jej imię. Gdy smoczek nie dał się wyciągnąć, a bajka stała się więzieniem.

— Klara — powiedziała nagle. — Ona nie śni naszego świata. Ona śni... *ich* świat.

Rozdział 4 – Screwball prowadzi przez iluzję

— Patrz! — zawołała Screwball, wskakując do wielkiego wózka z piernika. — To miasto, w którym wszystko jest miękkie, dopóki nie zaczniesz pytać, z czego zostało zrobione!

Oliwia ledwo nadążała.

Podłoże zmieniało się co kilka kroków: raz miękki mech, raz piankowe puzzle, raz cukrowe pióra, które skrzypiały pod kopytkami. Domki zbudowane były z kawałków snów — karuzele, które kręciły się, choć nie było dzieci, i ściany ozdobione naklejkami, które łypały oczami.

Nad wszystkim unosił się śmiech — nie radosny, lecz mechaniczny. Uruchamiany przez same patrzenie. Gdy spojrzała w prawo, śmiała się fontanna. W lewo — drzewo. Pod nogi — jej własne odbicie.

— Gdzie my jesteśmy? — zapytała, zbyt cicho, by mieć pewność, że chce odpowiedzi.

Screwball przysiadła na krawężniku z galaretki i spojrzała na nią ze zmęczonym uśmiechem.

— W mieście Iluzji. Tak Discord nazywał to miejsce. Ale ja wolę „Galeria Śmiechu”. To, co nie może płakać, musi się śmiać, prawda?

Oliwia przysiadła obok. Poczuła, że jej oddech się zmienia. Jakby zapomniała, jak się oddycha... jak się czuje.

— Czemu tu przyszliśmy?

Screwball wzruszyła ramionami.

— Bo kiedy nie wiesz, kim jesteś, najlepiej poszukać miejsc, które wszystko udają.

Oliwia rozejrzała się.

Domki miały drzwi, ale żadnych wnętrz. Zabawkowe kotki kiwały głowami, choć nie miały mechanizmów. Niebo... wyglądało jak posklejane z materiału teatralnego.

— To wszystko nieprawdziwe.

— A czym jest „prawdziwe”, skoro czujesz lęk, a on nie chce zniknąć? — Screwball spojrzała na nią poważnie, aż spiralne oczy przestały wirować.

Oliwia objęła się kopytkami. Coś w niej się rozluźniało. Jakby w środku była kula pamięci, a teraz nici zaczęły się rozwijać.

— Ja... nie pamiętam, skąd tu przyszłam — wyszeptała.

Screwball pochyliła się.

— I bardzo dobrze. Czasem pamięć boli. A tu? Tu możesz wszystko. Możesz być klaczką, ptakiem, spiralą. Możesz *nie być nikim* i wreszcie odpocząć.

— Ale ja nie chcę odpoczywać...

Chcę wiedzieć, kim jestem.

Screwball zamrugła. Przez jej pysk przemknął cień. Może ból. Może wspomnienie. A może echo innej dziewczynki, która też kiedyś zadała to pytanie.

— Nie pytaj mnie — szepnęła. — Ty masz coś, czego ja nigdy nie miałam.

— Co?

— Ciebie.

Oliwia poczuła ciepło pod mostkiem. Słabe. Ale prawdziwe.
Jakby coś w niej — nie umysł, nie myśl, ale *pamięć czułości* — powiedziało: *pamiętam cię, choć ty mnie nie pamiętasz*.

I wtedy galeria zaczęła się zmieniać.

Śmiech cichł.

A w jednej z witryn pojawiło się zdjęcie. Dziewczynka. Uśmiechnięta. Z mamą. W ramionach — coś różowego. Może smoczek. Może miś. Może wspomnienie.

Oliwia dotknęła szyby.
I serce w niej przypomniało sobie rytm.

Rozdział 5 – Rozpoznanie

— Ona nie powinna tu być.

Camel patrzyła uważnie. Stała z boku, niewidoczna dla Oliwii, która wciąż wędrowała po Galerii Śmiechu — tej samej, która przed laty więziła Rosaline, dzieci i... ich same.

Obok niej Screwball milczała. Coś w jej spojrzeniu się zmieniło — jej oczy spiralne, ale skupione. Wewnętrzne koła przestały wirować.

— To nie jest sen chaosu — powiedziała Camel. — To nie nasze zasady. I nie twoje reguły. Czułam to wcześniej... Ale teraz jestem pewna.

Screwball nie zaprzeczyła. Widziała, jak Oliwia porusza się z oporem, który nie pochodzi z ich świata. To nie były wahania klaczki chaosu. To był **rytm innego systemu**, jakby gdzieś głęboko w niej działał algorytm, który próbował utrzymać strukturę — nawet tutaj, w miejscu, gdzie wszystko powinno się rozpadać.

— Jej sen się nie sypie — powiedziała Screwball. — On się **synchronizuje**.

Camel skinęła głową.
— Powiedz to na głos. Chcę to usłyszeć.

— Ona... — Screwball wzięła powietrze. — Ona nie jest tylko dziewczynką z maseczką.
W niej coś siedzi. **Pamięć. Odcisk.**

— Plumka?

Screwball przymknęła oczy.

— Nie dosłownie. Ale... coś z niej. Echo.

Zamilkły.

Camel zrobiła kilka kroków naprzód. Ich świat — świat magii, chaosu, iluzji — nie powinien znać takich kodów. A jednak — wszystko wokół Oliwii dostosowywało się do niej. Przekształcało. Nawet Galeria Luster nie próbowała jej zatrzymać.

— To dlatego jej sen nie runął — mruknęła. — Bo **nosi w sobie system**. I system chroni swoje.

— Ale nie w całości — odparła Screwball. — Chaos ją dotknął. Przez maseczkę. Przez wspomnienia o mnie. Przez... ciebie.
Ten sen się nie zdecydował, czym ma być. On się *scala*.

Oliwia w tym czasie przystanęła przy jednej z witryn. W środku: zdjęcie łóżeczka. Białe pręty. Pluszak. Smoczek. Na kocu — imię zapisane dziecięcym pismem:

"NATALIA"

Screwball i Camel spojrzały po sobie.

— Córką Bitsi — powiedziała Camel.

Screwball położyła kopytko na szkle, choć była tylko cieniem.
— I może... klaczka, która pamięta coś, czego nie powinna.

Oliwia nie patrzyła na nie.

Ale zamknęła oczy.

I powiedziała cicho, jakby dla siebie:

— Pamiętam...

Część II – Gra, która nie była grą

Rozdział 6 – Rozmowa z Bitsi

Noc była nieruchoma. Ale nie spokojna.

Bitsi siedziała w fotelu obok kapsuły snu, z dłońmi splecionymi na kolanach, z oczami wbitymi w nierówną linię pulsu na ekranie. Rytm był zbyt regularny. Zbyt sztywny, jakby system próbował coś ukryć. Lub — co gorsza — utrzymać na siłę.

Obok niej Klara w milczeniu analizowała ciągi kodu. Ale nic się nie zmieniało. Bitsi nie czekała na dane.

Czekała na oddech. Na szept.
Na znak, że jej córka tam jest.

I wtedy poczuła.

Nie dźwięk. Nie obraz.

Rytm.

Serce Bitsi uderzyło raz — a potem drugi. Ale pomiędzy nimi... coś innego.

Cień czułości. Pamięci.

Jakby serce Oliwii odpowiadało. Jedno uderzenie — i jedno, które nie należało do niej. Ale znało ją.

Bitsi zamknęła oczy.

I w tej ciszy przemówiła — nie głosem, lecz myślą, jak wtedy, gdy była dzieckiem, jak wtedy, gdy system chciał zabrać jej imię.

— Oliwio?

I przez pustkę...

...coś drgnęło.

W świecie snu Oliwia zatrzymała się.

Właśnie opuszczała Krainę Śmiechu, prowadzona przez Screwball, gdy świat nagle się zatrzymał. Nie do końca pękł — bardziej jakby ktoś z zewnątrz dotknął tafli lustra i wzburzył sen.

Poczuła to w sercu. Nie w myślach.

Miękkie, znajome uściskanie. Jak wtedy, gdy leżała przy mamie, a świat był jeszcze prosty.

Usłyszała:

— Oliwio... wróć do mnie...

Głos był rozmazany, jak przez szkło. Ale czuła w nim... wszystko.

Miłość. Strach. I coś więcej.

Bezsilność.

Po raz pierwszy w życiu jej mama nie brzmiała jak skała, tylko jak ktoś, kto nie wie, czy zdoła dotknąć drugiego brzegu.

— Mamo? — Oliwia wyszeptała.

— Jestem tutaj, kochanie. Ale... nie mogę cię stąd wyciągnąć. Musisz... chcieć wrócić.

Oliwia spojrzała na Screwball.
Na świat zabawek, który miał ją nigdy nie skrzywdzić. Na swoje kopytka.
Na mgłę, która znów nadchodziła.

— Ale ja nie wiem, która ja to ja...

Głos Bitsi zadrżał w odpowiedzi.

— To nie musisz wiedzieć.
Po prostu pamiętaj, że jesteś moja. I że ja czekam.

Na ekranie Klary linia pulsu zmieniła rytm.
Nieznacznie. Ale wystarczająco.

Bitsi otworzyła oczy.

— Była tam.

— Tak — Klara skinęła głową. — Ale teraz już wie, że sen nie jest bezpieczny.

— Nie — powiedziała Bitsi cicho. — Teraz wie, że nie musi być w nim sama.

Rozdział 7 – Diskord przemawia

Ziemia pod kopytkami Oliwii zmieniła kolor.

Jeszcze przed chwilą poruszała się po utkanej z iluzji galerii, a teraz wszystko wokół niej zamarło — jakby sam sen wstrzymał oddech. Nie było śmiechu, nie było Screwball. Mgła zniknęła. Zamiast niej pojawiła się wielobarwna mozaika, skrząca się pod powierzchnią niczym rozbita tęcza.

Kiedy zrobiła krok, usłyszała dźwięk.

Nie echo. **Śmiech**. Ale nie ten z galerii — ten był głębszy, starszy. Niosący w sobie coś więcej niż tylko rozbawienie.

Zadrżała. Coś w niej pulsowało.

Nie serce. **Coś głębiej**. Jakby w środku, przy samym rdzeniu istnienia, było małe nasionko. Ciche. Cierpliwe. Czekające.

I teraz... przemówiło.

— Ależ, ależ! Czyżbyśmy już się znali?

Głos był miękki, zawadiacki, pełen przesady. Ale nie głupi. Niósł coś... niepokojącego. Coś, co znało ją **lepiej niż powinna była być znana**.

Oliwia rozejrzała się. Nic nie widziała. Ale cień przesunął się po ziemi — jak cień czegoś, co nie powinno mieć cienia. Jakby sam sen rzucał echo.

— Ja... wiem, kim jesteś — powiedziała niepewnie.

— Oczywiście, że wiesz! Przecież sama mnie zaprosiłaś. Przez bajki, przez wspomnienia, przez swoje cudne pytania o to, jak to jest być *kimś więcej*. Prawda?

I nagle, znikąd, pojawiła się scena.

Kolorowa, komiksowa plansza. A w niej — Oliwia. Ale nie taka jak teraz. Ta wersja miała na sobie pelerynkę, spiralne oczy, i śmiała się tak, jakby świat należał do niej.

— Spójrz — szepnął głos. — Tak właśnie możesz wyglądać, jeśli tylko pozwolisz sobie przestać być tylko... **tą małą córeczką Bitsi.**

Dziewczynka patrzyła na obraz siebie z mieszaniną fascynacji i lęku.

— Ale ja nie jestem tobą.

Głos zadrgał — na ułamek sekundy — jakby się ucieszył.

— I właśnie dlatego jesteś idealna.

Wokół niej świat zaczął się zmieniać. Pojawiły się drzwi — wszystkie otwarte. Każde prowadziło do innej wersji: do świata, w którym była klaczką chaosu z mocą zmieniania rzeczywistości; do świata, w którym była przewodniczką dzieci; do świata, w którym nie była już nikim — tylko błyskiem śmiechu w oczach innych.

— Widzisz? — zapytał Discord. — Nie musisz wybierać jednej drogi. Możesz **bawić się**. W to, kim jesteś. Codziennie inaczej.

Oliwia milczała. Obrazy kusily, świat pulsował.

Ale coś w niej pozostało ciche. Nienaruszone.

Mały, miękki głos, który mówił: *ale ja chcę wiedzieć, kim jestem naprawdę.*

Discord wyczuł to.

I roześmiał się znowu — tym razem ciszej. Smutniej.

— O, moja mała... Jeśli chcesz prawdy, najpierw musisz przejść przez wszystkie zabawy.

Bo to nigdy nie była tylko gra.

To była **próba**.

Rozdział 8 – Dziewczynka, która знаła Screwball

Mgła wróciła, ale już nie była miękka.

Skręcała się wokół kopytek Oliwii jak wełna w zbyt ciasnym szaliku. Każdy krok wydawał się wolniejszy, jakby świat nie chciał jej puścić — albo ona nie chciała odejść. W oddali wciąż rozbrzmiewał śmiech, lecz już nie przypominał zabawy. Był nerwowy. Sztuczny. Przesterowany, jakby ktoś włączał go z odtwarzacza bez końca.

Screwball szła obok niej, milcząca. Ich wcześniejsza relacja — pełna figlarnych spojrzeń, ukłonów, żartów — teraz wyglądała inaczej. Jakby między nimi zawisło pytanie, którego żadna nie chciała zadać.

Oliwia w końcu się zatrzymała.

— Wiem, kim jesteś — powiedziała, nie patrząc wprost. — Czytałam o tobie.

Screwball nie odpowiedziała.

— Byłaś w bajce. „Galeria Luster i Dziewczynka z Oczami Spirali.” Byłaś... ciekawa. Trochę przerażająca. Ale inna niż reszta. Myślałam, że tylko udajesz złą.

Screwball uniosła lekko brew, ale milczała.

Oliwia podniosła wzrok.

— Pamiętam, że ci kibicowałam. Jak robiłaś sztuczki, jak więziłaś tych złych. Chciałam cię naśladować. Raz nawet narysowałam cię w zeszycie z matematyki i dostałam uwagę.

Screwball parsknęła cicho, lecz nie było w tym śmiechu. Tylko smutek.

— Ale teraz... — Oliwia zacisnęła pyszczek. — Teraz jesteś prawdziwa.

Cisza, jaka zapadła, była ciężka.

— I co? — zapytała Screwball, powoli obracając się w jej stronę. — Nie podoba ci się?

Oliwia wzięła głęboki oddech. Jej serce biło nierówno.

— Nie wiem. Bo w bajce... wszystko było bezpieczne. Nawet jak było strasznie, wiedziałam, że nikt nie umrze. Że to się skończy. Ale ty... ty naprawdę kogoś skrzywdziłaś. I też zostałaś skrzywdzona. I nie ma „koniec” ani „naprawione”.

Screwball przyglądała się jej uważnie. Jej spiralne oczy kręciły się wolniej.

— Tak. Nie ma. — Jej głos był zmęczony. — I nie ma też wersji, w której wszystko zostaje pięknie poskładane. Są tylko wersje, w których *przestajesz się bać swojego odbicia*.

Oliwia spuściła wzrok.

— A ja nie wiem, czy chcę się w ciebie zamienić.

— Nie musisz — odparła Screwball. — Ale skoro mnie czytałaś, to wiesz, że kiedyś byłam dzieckiem. Takim, jak ty. I kiedyś chciałam tylko jednej rzeczy.

— Jakiej?

— Żeby ktoś mnie nie zapomniał.

Milczały.

W oddali przesunął się cień. Karuzela skrzypnęła w rytmie, który przypominał śmiech — ale też łkanie. Mgła zgęstniała. Świat znów się zmieniał.

— Wiesz — powiedziała Oliwia, podnosząc głowę — może bajki się kończą. Ale pamięć nie zawsze musi.

I wtedy Screwball uśmiechnęła się naprawdę. Smutno. Ale prawdziwie.

Rozdział 9 – Bitwa w klasie lustra

Drzwi zmaterializowały się z mgły. Długie, podłużne, szkolne — z popękaną szybą i starą tabliczką z numerem: L-13. Oliwia знаła ten widok. Klasa. Ale nie jej. Nie taka jak naprawdę. Tu coś było... zbyt czyste. Zbyt symetryczne.

Screwball zatrzymała się tuż przed wejściem i spojrzała na Oliwię bez uśmiechu.

— Tu nie mogę iść z tobą — powiedziała cicho.

— Dlaczego?

— Bo tam wejdiesz sama. I wyjdiesz... jeśli będziesz umiała.

Oliwia przełknęła ślinę. Poczuła w gardle znajome napięcie, jak przed sprawdzianem, ale tym razem nie chodziło o punkty. Chodziło o coś więcej.

— Co jest po drugiej stronie?

Screwball nie odpowiedziała od razu. Tylko szepnęła:

— Ty.

Oliwia weszła.

Klasa była pełna luster.

Zamiast tablic — odbicia. Zamiast uczniów — puste ławki z krzeselkami, które poruszały się same. W powietrzu unosiła się woń kredy i... coś słodkiego. Wanilia? Nie. To był zapach z dzieciństwa. Zapach przedszkola. Maty piankowej i smoczka.

Na środku sali, w miejscu nauczyciela, stała ona sama.

Nie tak, jak teraz.

Nie jako dziewczynka.

Ale jako klaczka.

Liliowa sierść. Spiralne oczy. Ogon związany kokardką. Na piersi — maseczka Senna™, przewieszona jak medalion.

— Witaj, Oliwio — powiedziała.

— Ty... jesteś mną?

— Nie. Ja jestem tobą, jeśli przestaniesz pytać.

Oliwia zmarszczyła brwi.

— Co?

— Jestem tobą, jeśli zostaniesz. Jeśli pozwolisz chaosowi prowadzić. Jeśli przyjmiesz wszystkie zabawki, wszystkie odpowiedzi. Jeśli się poddasz.

Wszystkie lustra wokół zamigotały. Pokazały Oliwię w różnych wersjach: raz uśmiechniętą, raz płaczącą, raz jako klaczkę Screwball, raz jako dziecko z pustym wzrokiem. Każda wersja coś mówiła — ale słowa były zniekształcone. Jakby mówiły jednocześnie i nic.

— Chcesz znać prawdę? — zapytała klaczkowata wersja. — To ty mnie stworzyłaś. Czytając. Marząc. Pragnąc siły, której nie rozumiałaś.

— Ale ja... ja chcę wrócić do mamy. Chcę odzyskać swoje imię!

— Imię? — parsknęła ta druga. — A które? Natalia? Oliwia? Klaczka? Dziewczynka? System ci jedno zabrał. Chaos dał drugie. A ty... ty nie wiesz, które jest twoje.

— Moje jest to, które czuję.

— Ale co czujesz?

I wtedy chaos zaczął się poruszać.

Z luster wylała się spirala. Cień. Śmiech. Odbicia zamigotały. Dziesiątki Oliwii — przestraszonych, zmęczonych, rozbawionych, zniekształconych — zbliżały się. Każda coś mówiła. Każda domagała się bycia tą prawdziwą.

Oliwia zaczęła się cofać.

— Nie... nie chcę być żadną z was!

Głos klaczki wybrzmiał mocniej.

— Więc zostań nikim. I odpocznij.

Ale wtedy... serce przemówiło.

Nie słowem. Nie myślą.

Uderzeniem.

Bitsi. Gdzieś, daleko, w innym świecie, jej serce zadrgało tym samym rytmem. Oliwia poczuła to — ciepło. Czułość. Dłoń, która tuliła ją, gdy była mała.

I w tym momencie **jedno lustro pękło**.

Lustro, w którym była tylko ona. Jedna. Bez chaosu. Bez maseczki.
Z oczami, które jeszcze nie zapomniały.

— To jestem ja — wyszeptała.

— Ale tam nie ma siły — powiedziała klaczka.

— Jest coś lepszego — odpowiedziała Oliwia. — Jest... **ja**.

Lustra zadrżały. Świat się wykrzywił.

A chaos... cofnął się. Ale nie zniknął.

Jeszcze nie.

Rozdział 10 – Forest czuje zmianę

Las był cichy, lecz nienaturalnie spokojny.

Forest siedział przy drewnianym stole na werandzie, z ołówkiem w kopytku i pustą kartką przed sobą. Próbował narysować coś — może drogę, może twarz. Ale za każdym razem linie rozmywały się, jakby papier sam odrzucał jego zamiar. Mimo to, nie przestawał. Ostatnio sny jego siostry znowu zaczęły się zmieniać. A z nimi... coś jeszcze.

Od kilku nocy śnił nie swoje sny.

To nie była Meadow. Nie jej głos, nie jej emocje. Dziewczynka, którą widział, była inna. Młodsza. Ciekawsza. I... zagubiona. Przez trzy noce z rzędu pojawiała się w tle jego własnych snów — nie jako postać, lecz jako obecność. Jakby coś przenikało między warstwami.

Na początku sądził, że to tylko przypadek. Echo opowieści. Może wyobraźnia. Ale tej nocy...

Tej nocy zobaczył ją wyraźnie.

Miała kopytko, spiralne oczy i maseczkę na szyi, która nie pasowała do żadnej krainy chaosu, jaką znał. Biegła przez las, ale nie taki, jak ich — las był zrobiony z miękkiej piany, jakby z pozostałości snu, który został rozpuszczony w dziecięcej łzie.

Gdy tylko obudził się dziś rano, serce mu waliło.

To nie był tylko sen. To było wezwanie.

Forest przesunął kopytkami po papierze. Teraz już wiedział. Dziewczynka, którą śnił... istniała gdzieś naprawdę. Może nie w tym świecie. Może nie w jego rzeczywistości. Ale jeśli znał cokolwiek o chaosie — a znał, zbyt dobrze — to wiedział jedno:

Granice nie są tam, gdzie je narysowano.

Ich światy zaczynały się przenikać. A to oznaczało, że ktoś — lub coś — przeciął warstwę między snami. Że ktoś, kto nigdy nie powinien śnić o nich, teraz śnił z nimi.

Forest odchylił się na krześle. Spojrzał na niebo.

— Meadow... jeśli to znów się zaczyna — powiedział cicho — musimy ją odnaleźć, zanim zrobi to chaos.

Część III – *Lustra, które ranią*

Rozdział 11 – Galeria wspomnień

Galeria Chaosu nie przypominała już miejsca, w którym można się było zgubić.

Nie wirowała. Nie zmieniała ścian, nie szeptała z obrazów. Była pusta. Cicha. Została wypalona przez wybór — przez decyzje, których nie cofa się słowami. Ściany nosiły ślady złuszczonego snu, jakby ktoś oderwał z nich iluzję, pozostawiając tylko szkielet prawdy.

Screwball prowadziła Oliwię w milczeniu. Jej spirale nie kręciły się już z figlarnym błyskiem. Były spokojne. Może nawet trochę zmęczone.

Dziewczynka rozglądała się ostrożnie, jakby bała się, że cokolwiek dotknie, znów zacznie żyć. Przez chwilę wydawało jej się, że rozpoznała echo jednego z obrazów — dziecko z otwartą buzią, które krzyczało w bezgłosie — ale kiedy spojrzała drugi raz, była tam tylko pusta rama.

— To tu wszystko się zaczęło — powiedziała Screwball cicho. — I tu się skończyło. Dla mnie. Dla niej. Dla wielu.

— Dla... niej? — zapytała Oliwia.

Screwball zatrzymała się przy jednym z niewielu ocalałych luster. Nie miało już blasku. Tylko matową powierzchnię, jakby zamiast odbijać, próbowało zapomnieć.

— Rosaline — szepnęła. — Pierwsza, która przetrwała. Nie była córką chaosu. Ale weszła tu i nie zgubiła siebie. Nawet gdy ja próbowałam ją złamać.

Oliwia dotknęła lustra. Nie było zimne. Nie było też ciepłe. Czuła pod palcami coś innego — wibrację, jak bicie serca. Ale nie swojego. Cudzego.

I wtedy... obraz się pojawił.

Pegaziczka o liliowej grzywie. Stała spokojnie wśród wirujących fragmentów dziecięcych emocji. Nie uciekała. Nie krzyczała. Po prostu patrzyła. I jej spojrzenie... obejmowało. Nie oceniało. Nie odpychało. Było jak dłoń położona na rozpalonym czole.

— To... ona? — szepnęła Oliwia.

Screwball skinęła głową.

— Ona spojrzała mi w oczy, gdy wszyscy inni odwracali wzrok. A potem... powiedziała, że mnie nie zostawi.

Obraz Rosaline drgnął. Jakby dziewczynka w lustrze rozpoznała tę, która stoi przed nim teraz. Uśmiechnęła się lekko. Cicho. Ale w tym uśmiechu było coś, co sprawiło, że Oliwia poczuła łyzy na policzkach, zanim jeszcze zrozumiała dlaczego.

— Ona wie, że tu jestem?

— Ona pamięta. A to więcej niż wie.

W tym momencie świat wokół zaczynał drżeć. Ale nie w chaosie. W rytmie. W porządku, który nie był wymuszony — lecz zrodzony z decyzji. Galeria przestawała być więzieniem.

Stawała się świadkiem.

Oliwia spojrzała jeszcze raz na Rosaline.

I po raz pierwszy pomyślała, że nie musi walczyć sama.

Rozdział 12 – Bitsi i Camel – rozmowa matek

Świat snu był niestabilny, ale tego wieczoru uformował się inaczej.

Nie jako iluzja. Nie jako pułapka. Nie jako rytm systemu ani spirala chaosu.

Tym razem był przestrzenią stworzoną przez pamięć.

Między drzewami, które nie należały do żadnej mapy, rozciągała się polana. Ciepła, cicha, przesiąknięta światłem jak z bajki czytanej przy zgaszonym świetle. Na środku tej polany stały dwie kobiety. Dwie matki. Każda z innego świata.

Bitsi — prosta sylwetka, dłonie splecione przed sobą, w oczach niepokój.

Camel — kłaczka chaosu, z rozpuszczonym ogonem i skrzydłami lekko drgającymi od napięcia.

Stały naprzeciwko siebie i milczały przez dłuższą chwilę, jakby obie czuły, że to spotkanie nie powinno się wydarzyć — a jednak musiało.

— To twoja córka — odezwała się Camel pierwsza. Głos miała niższy niż w bajkach. Bardziej ludzki. — Ale śni w moim świecie.

Bitsi skinęła głową.

— I robi to... bo ja jej opowiedziałam twoją historię. Waszą. Nie chciałam jej skrzywdzić. Chciałam tylko... żeby wiedziała, że świat jest większy niż kapsuła.

Camel uniosła wzrok.

— Wiem. Ale chaos nie dba o intencje. On tylko czeka, aż znajdzie coś pękniętego, by się wślizgnąć.

Bitsi westchnęła.

— Myślałam, że jeśli jej opowiem wszystko, to będzie bezpieczna. Że pamięć jest tarczą. Ale teraz... ona zgubiła się w bajce. Tak jak ja kiedyś zgubiłam się w systemie.

Camel zrobiła krok w przód. Jej kopytka nie uderzały o ziemię, tylko o powietrze. Śniła jako kłaczka, ale mówiła jak ktoś, kto zna ciężar odpowiedzialności.

— A może... — zaczęła powoli — właśnie dlatego możemy ją uratować.

Bitsi spojrzała na nią.

— Bo obie wiemy, co to znaczy być dziewczynką, która nie może się obudzić?

Camel uśmiechnęła się smutno.

— Bo obie wiemy, że żadna dziewczynka nie powinna wracać sama.

Między nimi zawisło wspomnienie.

Nie konkretne. Ale wyczuwalne.

Smoczek. Ten, który nie dawał się wyjąć. Ten, który uczył bezpieczeństwa i więzi, zanim nauczył słów. Symbol czułości. I kontroli. I wyboru.

Bitsi uniosła dłoń, jakby znów go czuła pod palcami.

— Kiedyś myślałam, że wystarczy kochać. Że miłość ochroni. Ale teraz... widzę, że nie chodzi o ochronę. Tylko o to, by być blisko, nawet jeśli nie możesz już trzymać za rękę.

Camel podeszła bliżej.

— Miałam siostrę — powiedziała cicho. — I przez chwilę myślałam, że ją straciłam. Ale wróciła. Bo w środku, mimo wszystkiego, pamiętała, kim jestem. I kim była ona sama.

Bitsi pokiwała głową. W oczach miała łzy. Nie ze strachu. Z uznania.

— Jak uratować dziecko, które śni?

Camel odpowiedziała bez wahania.

— Trzeba śnić razem z nim.

Rozdział 13 – Rosalyn prowadzi przez pustkę

Oliwia błędziła przez sen, który już nie przypominał niczego znajomego.

Galeria Luster się rozpadła, ale nie w eksplozji — raczej jak pióra z poduszki, rozsypane po całym śnie. Jej kroki stawały się coraz lżejsze, jakby nie miała już ciężaru ani formy. Przestrzeń wokół była miękka, bezkolorowa, bezdźwięczna. Pustka, ale nie ciemność. Pustka, która czekała, aż ktoś ją zdefiniuje.

Szła, choć nie wiedziała dokąd. Aż nagle... przestała być sama.

Z mgły wyłoniła się postać. Delikatna. Cicha. Pegaziczka.

Jej ruchy były spokojne, jakby знаła ten teren na pamięć. Skrzydła złożone. Grzywa opadająca jak strumień wspomnień. Nie błyszczała. Nie mieniła się. Nie robiła wrażenia. A jednak Oliwia poczuła, że to ktoś, kogo zna — choć nigdy nie spotkała.

— Jesteś... Rosaline? — zapytała dziewczynka szeptem.

Pegaziczka skinęła głową.

— Tak. Ale tej nocy nie przyszedłem jako bohaterka. Przyszedłem... jako przewodniczka.

Oliwia zrobiła niepewny krok w przód. Przestrzeń wokół zafalowała lekko, jakby pustka uznawała obecność drugiej istoty.

— Nie wiem, kim jestem — powiedziała. — I nie wiem, czy to, co we mnie, to ja... czy ktoś inny.

Rosaline usiadła na niewidzialnej powierzchni i gestem zaprosiła Oliwię obok.

— Czasem — zaczęła — zostają w nas rzeczy, które nie należą do nas. Odbicia. Myśli. Cienie cudzych historii. Tak działa chaos. Ale też tak działa miłość.

— Myślałam, że to lustro mnie ranią — wyszeptała Oliwia. — Ale to nie one. To to, co widzę.

Rosaline uśmiechnęła się smutno.

— To nie lustro, co cię rani. To pamięć, która nie była twoja, a została w tobie.

Oliwia spojrzała w dół. Jej kopytka drżały lekko. Serce pulsowało chaosem i rytmem jednocześnie.

— Więc jak mam wiedzieć, które wspomnienie jest moje?

— Nie musisz wiedzieć — odpowiedziała Rosaline. — Musisz tylko poczuć, które z nich cię kocha.

Zapadła cisza. Taka, w której rodzą się odpowiedzi.

Oliwia zamknęła oczy.

I w tej ciszy nie było chaosu. Nie było systemu. Był tylko głos mamy, który kiedyś powiedział: „Zawsze jesteś moją córką. Nawet gdy nie pamiętasz.”

I to wystarczyło.

Rozdział 14 – Echo Jasmine

Sen znów się zmienił — lecz tym razem nie zadrgał ani nie pękł. Przekształcił się łagodnie, jakby płatek opadał na taflę wody i zmieniał jej kolor. Pustka powoli zapełniała się ruchem, rytmem i... muzyką.

Nie była to muzyka chaosu. Ani też śpiew systemu. To było coś pomiędzy. Cichy takt, jak puls ciała w tańcu. Jak echo serca, które uczyło się mówić przez ruch.

Oliwia stała na drewnianej podłodze. Miała wrażenie, że to scena — albo sala ćwiczeń. Wokół niej rozciągały się wysokie lustra, a w nich... odbicia nie były jej.

Wszystkie były nią kiedyś. Albo kimś podobnym. Ale nie tu i nie teraz.

I wtedy pojawiła się **Jasmine**.

Delikatna. Subtelna. Jej ruchy nie przypominały zwykłych kroków. Każdy gest był jak wers wiersza zapisanego ciałem. Miała na sobie białą sukienkę baletową, prostą i bez ozdób. Gdy spojrzała na Oliwię, w jej oczach nie było zaskoczenia.

Było rozpoznanie.

— Znałam Plumkę — powiedziała Jasmine cicho. Jej głos był jak nuty z wnętrza snu, wypowiedane nie ustami, lecz sercem. — I ona знаła mnie. Uczyłam ją tańczyć. Ale tak naprawdę... uczyłam ją *czuć*.

Oliwia chciała coś powiedzieć, ale z jej gardła nie wydobył się dźwięk. I wtedy Jasmine zrobiła krok do przodu, dotknęła jej dłoni i... dotykiem przekazała wspomnienie.

Obraz. Fragment ekranu.

Czarny tekst na tle forum. Wpis zatytułowany:

„Dla tych, co pamiętają.”

Oliwia poczuła, jak słowa przepływają przez nią:

*„Jeśli pamiętasz, kim byłeś — nie zapomnij, że nadal jesteś.
Jeśli pamiętasz, co czułeś — nie pozwól nikomu tego zmazać.
A jeśli zapomnisz... to nie jesteś sama.”*

Oczy Oliwii zaszklily się. Jasmine przytuliła ją — cicho, bez dramatyzmu, bez słów. Tylko ten jeden gest, który zna każda dziewczynka, kiedy ktoś starszy obejmuje ją nie po to, by zatrzymać, ale po to, by **pozwolić jej zostać sobą**.

— To był twój wpis? — zapytała w końcu Oliwia.

Jasmine pokiwała głową.

— Ale napisałam go też dla ciebie. I dla wszystkich, które dopiero się obudzą.

— A jeśli nie zdążę?

— To ja zapamiętam za ciebie — odpowiedziała Jasmine z uśmiechem. — I kiedy się obudzisz, przypomnę ci, kim jesteś.

Rozdział 15 – Zepsuta bajka

Niebo pękło bez ostrzeżenia.

Tkanina snu, którą tak starannie zszywały czułość, pamięć i ruch, została rozdarta jednym ruchem — jakby ktoś zerwał zasłonę między światem bajki a światem chaosu. Światło zmieniło barwę. Stało się żółtozielone, obce, lepko-drżące jak ślina zepsutej karuzeli.

Oliwia odruchowo zasłoniła oczy. Jasmine zniknęła, rozplynęła się w rozbłysku. Zamiast niej, w miejscu, gdzie wcześniej widniały lustra, pojawiła się scena.

Książka. Wielka, zawieszona w powietrzu. Rozkładana jak teatrzyk dla dzieci.

Na okładce widniał tytuł:

„Galeria Luster – bajka terapeutyczna (wersja alternatywna)”

A pod nim, mniejszymi literami:

Opracowanie: Diskord.

Bajka zaczęła się sama. Głos był znajomy, przesterowany, zbyt pogodny.

— *Dawno, dawno temu była sobie Galeria Luster, w której dzieci mogły zobaczyć, jak bardzo są niepotrzebne, jeśli nie spełniają oczekiwań.*

Jedna z nich — Screwball — była najzabawniejsza, bo wiedziała, jak udawać miłość. I to czyniło ją wyjątkową...

Oliwia wstrzymała oddech. To nie była bajka, którą знаła. Nie była nawet zła w oczywisty sposób. Była... wypaczona. Każdy wers był odbiciem prawdy, ale wykrzywionym, rozciągniętym, zamienionym w szyderstwo.

— *...a inne dzieci? No cóż. Były lustrem. A lustra są dobre tylko wtedy, gdy pokazują to, co chcesz zobaczyć.*

Głos bajki śmiał się sam do siebie.

I wtedy pojawiła się Camel.

Nie z nieba, nie z mgły — po prostu weszła. Stanęła między książką a Oliwią. Jej skrzydła były rozpostarte, oczy płonęły gniewem, a ogon drgał w rytm wewnętrznego ognia, którego nie dało się zdławić.

— Dosyc — powiedziała.

Książka nie przestała mówić.

— *Ach, Camel. Bohaterka dnia! Klaczka, która chciała być dobra, ale zapomniała, że chaos nie zapomina. Chcesz coś powiedzieć? O, proszę bardzo. Scena jest twoja!*

Camel nie zareagowała. Zamiast tego zrobiła coś prostego: podarła stronę.

Jedną. Tylko jedną. Ale wystarczyło.

Głos zadrżał. Obraz zawirował. Książka zatrzęsła się i zaczęła cofać strony, jakby nagle próbowała udawać, że nic się nie stało. Ale nie mogła. Bo chaos nie znał cofania. Tylko udawanie.

— Ta bajka nie należy do ciebie — powiedziała Camel. — I już nigdy nie będzie.

Spojrzała na Oliwię.

— Masz prawo zapamiętać siebie tak, jak chcesz. Nie tak, jak ktoś ci opowie.

Oliwia drżała. Ale skinęła głową.

Gdy Camel spaliła książkę, nie było w tym dramatyzmu. Tylko cisza.

I z niej zrodził się rytm.

Część IV – Wybudzenie, które boli

Rozdział 16 – Pamiętnik Discorda

Sen był spokojny. Zbyt spokojny.

Oliwia stała w miejscu, którego nie знаła, ale które wydawało się dziwnie znajome — jakby odwiedziła je kiedyś w cudzym śnie, albo widziała w bajce, której nie dokończono. Pokój był zbudowany z rzeczy, które nie powinny do siebie pasować: ściana z klocków, podłoga z kartonowych plansz, krzesło złożone z kołysanek. Wszystko było zbyt miękkie, zbyt kolorowe. I mimo to — czuło się w tym starość. **Znużenie.**

Na środku leżał zeszyt.

Nie był duży, nie miał tytułu. Był pomięty, oklejony resztkami naklejek, poplamiony tuszem. Oliwia podniosła go ostrożnie. Zadrżał, jakby sen sam nie był pewien, czy pozwolić jej zajrzeć do środka.

Ale otworzyła go.

„**Pamiętnik Discorda**” — ktoś napisał na pierwszej stronie koślawym pismem. Dziecięcym, ale przesiąkniętym ironią.

Pierwszy wpis był krótki:

Nie chciałem być zły.

Tylko nigdy nie chciałem być sam.

Oliwia przeczytała zdanie trzy razy. Za każdym razem brzmiało inaczej. Za pierwszym — jak kpina. Za drugim — jak wyznanie. Za trzecim... jak **krzyk, którego nikt nie usłyszał**.

Kolejne strony były pełne rysunków. Spirale, figury, szkice dzieci z lustrami zamiast twarzy. Miasta z klocków, które zawsze się rozpadały. W środku, na każdej ilustracji, siedziała postać. On. Discord. Czasem z uśmiechem. Czasem z twarzą ukrytą w dłoniach.

Niektóre wpisy były przekreślone. Inne zamazane farbą.

Ale były też zdania, które przebijały przez wszystko:

Lustra nie kochają.

System nie pamięta.

Chaos przynajmniej mówi do ciebie.

Oliwia zamknęła zeszyt.

Serce bolało ją lekko — nie ze strachu, lecz ze smutku. Bo zrozumiała, że nawet on — ten, który zakrzywiał światy, który więził dzieci w zabawie bez końca — był tylko kimś, kto **przegrał walkę o bycie kochanym**. I zamiast zapomnieć, stworzył lustra.

Ale ona nie musi ich powtarzać.

Postawiła zeszyt z powrotem.

I zrobiła pierwszy krok w stronę przebudzenia.

Rozdział 17 – Rosaline, Iris, Camel – trzy, które przetrwały

Spotkały się w miejscu, które nie należało do żadnego snu.

To nie była plansza Discorda, nie była też kapsuła systemu. Tu nie działały reguły iluzji, nie pulsowały rytmy terapeutyczne. Była tylko cisza — **dojrzała, prawdziwa cisza**, w której nie trzeba było niczego udawać. I właśnie dlatego mogły tam mówić prawdę.

Rosaline pojawiła się pierwsza. Jej skrzydła zwinęły się jak pergamin, który nie musi już nic zapisywać. Siadła na białym kamieniu i spojrzała w mgłę.

Iris przybyła w rytmie błysku. Nie teleportacją — ale gestem, który rozcinał rzeczywistość tylko tam, gdzie należało. Spiralne oczy, choć wciąż obecne, kręciły się wolniej. Nie po to, by hipnotyzować. Po to, by pamiętać.

Camel weszła jak zawsze — z ziemi, z dołu. Pęknięcie pod stopami stało się mostem. Jej kopytka stuknęły mocno, pewnie, ale w oczach było coś łagodnego. Ogień, który nie musi już nikogo parzyć.

— Jesteśmy — powiedziała Rosaline cicho.

— I ona też — dodała Iris.

Camel nie zapytała, o kim mowa. Wiedziała.

Oliwia.

Dziewczynka, która weszła między sny i chaos, nie jako wojowniczka, nie jako klaczka, nie jako córka... ale jako ta, która pamiętała nie swoje wspomnienia. I mimo to — jeszcze się nie rozpadła.

— Czy ona jest... naszą następczynią? — zapytała Camel, unosząc wzrok.

Iris pokręciła głową.

— Nie. Nie jest ani mną, ani tobą. Nie nosi naszego piętna.

Rosaline uśmiechnęła się lekko.

— Ale może być czymś więcej. Może być... kimś, kto potrafi przejść przez oba światy i nie wybrać żadnego. Nie po to, by uciekać, ale by zostać sobą.

— Myśmy przeżyły, bo miałyśmy siebie nawzajem — powiedziała Camel. — A ona...?

— ...ma w sobie ich wszystkich — dokończyła Iris. — Matkę, siostrę, bajkę, chaos, sen i światło. Ma więcej, niż miałyśmy my.

— To nie znaczy, że nie będzie bolało — Rosaline spuściła wzrok. — Ale może to właśnie znaczy, że nie musi zostać sama.

Zapadła cisza. Trzy klaczki siedziały obok siebie. Nie jako bohaterki. Nie jako legendy.

Jako te, które kiedyś przeżyły.

I teraz były gotowe, by pomóc innej to przetrwać.

Rozdział 18 – Ostatnia iluzja

Świat znów się zamknął wokół niej.

Oliwia czuła to nie w ciele, ale w przestrzeni — jakby ktoś domknął pierścień wokół jej snu. Była sama. Znowu. Ale nie w pustce. Nie w chaosie. Tym razem znajdowała się w miejscu, które wyglądało jak pokój... ale poskładany z cudzych snów.

Klocki leżały na wykładzinie, jakby ktoś dopiero co przestał się nimi bawić. W kącie kołysała się huśtawka — zbyt mała dla niej, zbyt znajoma. Na ścianie wisiał rysunek przedstawiający... Forest.

Leżał na plecach, z zamkniętymi oczami. Wokół jego głowy unosiły się spirale.

Zrozumiała w jednej chwili.

On też tu był.

Nie przez przypadek. Nie przez decyzję. Został wciągnięty.
Nieprzygotowany.
Może przez sen, może przez echo jej własnego chaosu.

Zrobiła krok w stronę jego ciała, ale podłoga się rozciągnęła. Zaczęła się zamieniać w wirującą planszę — fragmenty Galerii, skrawki klas, elementy z bajki, którą ktoś już raz wypaczył.

A w powietrzu zawisł głos.

— *No dalej, Oliwio. Wiesz już, jak to działa.*
Wystarczy jedno życzenie. Jedno słowo. I wszystko znów się ułoży.

Była to iluzja. Czuła to.

Ale była też prawdziwa w ofercie: siła, możliwość kontrolowania snu, zamknięcia Forest w pętli — bez bólu, bez strachu. Mógł zostać kimś innym. Mogła mu pomóc zapomnieć.

Ale wtedy... ona też zapomniałaby siebie.

Spojrzała na niego.

I zamiast wypowiedzieć słowo, klękła obok. Położyła dłoń — nie kopytko, bo teraz znów była dziewczynką — na jego czole. I powiedziała:

— To nie musi boleć. Ale musi być prawdziwe.

Plansza zadrżała. Spiralne wzory wyblakły. Głos nie mówił nic więcej.

Bo nie miała już potrzeby uciekać.

I właśnie dlatego... moc chaosu się wycofała.

Nie w krzyku. W ciszy.

Forest otworzył oczy. Popatrzył na nią, zdezorientowany.

— Gdzie...?

— Już wracamy — powiedziała miękko.

I po raz pierwszy w całej podróży, Oliwia nie wybrała chaosu ani systemu. Nie wybrała siły.

Wybrała siebie.

Rozdział 19 – Nasionko pamięta

W ciszy po iluzji coś zostało.

Nie chaos. Nie rytm. Nie baśń.
Coś cichszego. Coś głębszego.
To było w niej od początku — nie jako obca siła, ale jako pytanie, które nie znikło mimo wszystkich gier, światel i głosów.

Nasionko.

Nie większe niż drobinka światła pod paznokciem.
Nie silniejsze niż oddech po płaczu.
Ale było tam. Trwało.

Oliwia nie wróciła do formy klaczki. Nie stała się też całkowicie dziewczynką. W tym momencie, na krawędzi snu i przebudzenia, była po prostu sobą. I właśnie dlatego czuła to najdokładniej.

Pośrodku jej klatki piersiowej — nie w ciele, lecz gdzieś głębiej — coś pulsowało.

Wyciągnęła dłoń. I choć nie trzymała niczego fizycznego, jej palce zamknęły się wokół ciepła.

Zamknęła oczy.

I znów usłyszała ten głos. Ten sam, który wcześniej szeptał jej o mocy, o zabawie, o zapomnieniu. Ale tym razem nie był głośniejszy od niej. Nie był większy.

Był... mały.
Jak echo, które nie chce zniknąć.

— *Jesteśmy tacy sami...* — mówiło nasionko. — *Chcesz czuć. Chcesz zmieniać. Chcesz, żeby cię nie zapomniano.*

Dziewczynka skinęła głową. Ale nie w zgodzie.

W zrozumieniu.

— Tak. Ale to nie znaczy, że muszę być tobą.

Poczuła, jak coś się cofa. Nie z krzykiem. Nie z żalem. Po prostu... uznaje granicę. Jak dziecko, które pierwszy raz słyszy „nie” i nie płacze, bo w tym „nie” była miłość.

— Nie będę tobą — powiedziała głośno. — Ale nie muszę się ciebie bać.

I wtedy nasionko zadrżało po raz ostatni.

Nie pękło. Nie wyparowało.
Po prostu przyjęło nową formę.

Nie źródła mocy.
Nie spirali.
Nie symbolu.

Wspomnienia.

Oliwia odetchnęła.
I wiedziała, że kiedy się obudzi, będzie go nosić dalej.

Nie po to, by walczyć.

Ale po to, by pamiętać.

Rozdział 20 – Wybudzenie

Świat nie rozpadł się, gdy sen się skończył.

Nie zgasło światło. Nie rozbrzmiał alarm. Nikt nie wyrwał масeczki z twarzy Oliwii. To było ciche przejście — jak oddech między snem a porankiem, którego jeszcze nie chcesz, ale wiesz, że już przyszedł.

Jej oczy otworzyły się powoli.

Sufit był znajomy. Pokój również. Jasne zasłony poruszały się pod wpływem lekkiego wiatru. Gdzieś w tle pikał delikatny pulsator monitorujący sen. Klara i Bitsi siedziały obok — z twarzami napiętymi, bezsennymi, gotowymi na wszystko, nawet na stratę.

— O-Oliwia? — głos Bitsi zadrżał, zanim jeszcze zdążył zabrzmieć w pełni.

Dziewczynka nie odpowiedziała od razu.

Spojrzała na swoje dłonie.

W jednej z nich — zamkniętej ostrożnie, jakby trzymała coś, co może się rozsypać — leżało nasionko.

Było wykonane z czegoś, co przypominało kamień. Ale nie zimny. Nie martwy. Było ciepłe.

Nie pulsowało. Nie mówiło.

Ale pamiętało.

— Już... wróciłam — wyszeptała w końcu. Jej głos był zmieniony. Nie dojrzały. Nie dziecięcy. Po prostu — świadomy.

Bitsi ujęła ją w ramiona natychmiast, a Klara odsunęła się lekko, dając przestrzeń — ale z oczami wypełnionymi wdzięcznością. Wiedziały, że nie wszystko da się zrozumieć.

Ale też nie wszystko trzeba.

— Co trzymasz? — zapytała mama, głaszcząc ją po głowie.

Oliwia spojrzała na nasionko. Przez ułamek sekundy wydawało jej się, że widzi w nim spiralę. Ale potem zobaczyła tylko kamień. Jakby sen sam wybrał, co ma pozostać.

— To... moje. Ale nie po to, żeby mnie prowadziło.

Zacisnęła dłoń delikatnie.

— Po to, żebym ja pamiętała, co wybrałam.

Klara spojrzała na nią z lekkim uśmiechem.

— I co wybrałaś?

Oliwia spojrzała na obie.

— Siebie.

I wtedy świat się nie zmienił. Ale stał się jej.

Epilog – *Sen to nie bajka. Ale też nie musi być koszmarem.*

Słońce tego ranka było łagodne.

Nie jak początek dnia, ale jak **kontynuacja czegoś ważniejszego** — czegoś, co trwało jeszcze chwilę po przebudzeniu. Oliwia siedziała przy kuchennym stole, oświetlona promieniem, który odbijał się w kubku z mlekiem. Obok niej siedziała Bitsi, z ręką położoną na stole, blisko, ale nie narzucająco. Po prostu... **obecna**.

— Nie wiem, czy ktokolwiek mi uwierzy — powiedziała Oliwia cicho.

— Nie muszą — odpowiedziała matka. — Nie chodzi o to, żeby ci wierzyli. Chodzi o to, żeby wiedzieli, że mogą też **coś poczuć**.

Dziewczynka skinęła głową. Na ekranie jej urządzenia mrugało puste pole wpisu. Nowe forum — stworzone poza systemem. Małe. Jeszcze niepubliczne. Ale zarejestrowane. Otwarte.

Wpisała tytuł:

„Można pamiętać i nie być sama.”

I zaczęła pisać. Nie bajkę. Nie ostrzeżenie.

List.

*Byłam klaczką, choć się nią nie urodziłam.
Byłam bohaterką, choć nikogo nie uratowałam.
Byłam sobą, choć nie wiedziałam, co to znaczy.*

Ale dziś się obudziłam. I wiem, że pamięć to nie więzienie. To światło.

Jeśli jeszcze śniesz — nie bój się. Jeśli nie wiesz, kim jesteś — to znaczy, że pytasz. A to jest początek.

Nie musisz zapominać. I nie jesteś sama.

Kliknęła „opublikuj.”

Nie było fanfar. Nie było komentarzy. Ale wiedziała, że ktoś to przeczyta. Może Jasmine. Może Forest. Może dziewczynka, która jeszcze nie ma imienia.

Tego samego dnia, po lekcjach, wyszła na dziedziniec szkoły.

Nie było nikogo. Ale cień drzew był gęsty i spokojny. Jakby coś w nim czekało. Oliwia podeszła do starego drzewa i usiadła pod nim. I wtedy je zobaczyła.

Trzy postacie.

Nie przyszły. Nie pojawiły się dramatycznie. One już tam były.

Camel — ogień w oczach, skrzydła złożone, uśmiechała się kątem pyska.

Rosaline — siedziała cicho, z oczami skierowanymi w niebo, jakby widziała więcej, niż było dane ludziom.

I Iris — nie mówiła nic. Po prostu była.

Oliwia nie musiała pytać, co robią.

Wiedziała.

Czuwały.

I gdy zamknęła oczy, usłyszała w sobie nie słowo, nie głos, ale oddech pamięci.

Sen to nie bajka.

Ale też nie musi być koszmarem.

Bo są tacy, którzy pamiętają za ciebie — dopóki sam nie będziesz gotów.

Koniec.

